Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Rok I — Lwów, 15 sierpnia 1934 — Nr. 10

AKCJA NARODOWA

Dwutygodnik polityczny, społeczny i kulturalny

Redaktor naczelny: WŁADYSŁAW JAN TURZAŃSKI

REDAKCJA: Lwów, ul. św. Piotra 6
ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Kopernika 20. Tel. 28-18
urzęduje w soboty od godz. 3—4 popoł.

Cena egzempl. 25 gr. — K-to PKO 504.250

Prenumerata kwartalna: 1 zł. półroczna 2 zł. — roczna 3·50 zł.

KLAUDJUSZ HRABYK

Uniwersalizm myśli narodowej

„Wszystko co polskie — mówi Roman Dmowski w „Myślach nowoczesnego Polaka" — jest moje: niczego się wyrzec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród, za to, co jest w nim marne. Jestem Polakiem — więc całą, rozległą stroną mego ducha żyję życiem Polski, jej uczuciami i myślami, jej potrzebami. dążeniami i aspiracjami. Im więcej nim jestem, tem mniej z jej życia jest mi obcem i tem silniej chcę, żeby to, co w swem przekonaniu uważam za najwyższy wyraz życia. stało się własnością całego narodu. Jestem Polakiem — więc mam obowiązki polskie; są one tem większe i tem silniej się do nich poczuwam im wyższy przedstawiam typ człowieka. Bo im szerszą stroną mego ducha żyję życiem zbiorowem narodu, tem jest mi ono droższe, tem większą ma dla mnie cenę i tem silniej czuję potrzebę dbania o jego całość i rozwój".

Ten najwspanialszy akord wyznania wiary narodowej wypowiedziany przez wielkiego myśliciela jest po latach trzydziestu tak samo, powiedzmy nawet więcej aktualny, niż w chwili jego wygłoszenia. Naród polski posiada bowiem Państwo, w którem duch Narodu może niezależnie od obcej woli szukać własnych dróg.

* * *

Wydajemy dziś numer poświęcony twórczości myśli i ducha polskiego. Nie oddaje on oczywiście nawet tysiącznej jej części, gdyż oparty jest wyłącznie na przedstawicielach jednego tylko miasta polskiego t. j. Lwowa, a i tu nie wyczerpuje całości. Wydając dzisiejszy numer i skupiając koło niego różnych ludzi, którzy w życiu codziennem, w jego walkach stają często na przeciwległych szańcach, chcemy podkreślić naszą ogólną łączność i zamanifestować, że „wszystko co polskie, jest nasze".

Niema innego punktu patrzenia na życie narodowe, jak tylko to właśnie. wyrażone w tem zdaniu tak jędrnie, prosto a tak bardzo bogato i treściwie. Ideą kultury polskiej musi być jej narodowy uniwersalizm, w którym zmieszczą się wszystkie jej wartości. wszystkie blaski i cienie. Duch Narodu, jego myśl i kultura przechodzą różne fazy i nie należy do nas tylko to, co jest w nich potężne i największe, ale i to. co słabsze. a nieraz choćby nikłe.

* * *

Do czegóż jednak doprowadzili talmudyści i kacyki wspaniałą treść narodowego katechizmu polskiego? Do jakiej nędznej małości ściągnęli bogactwo idei nacjonalizmu polskiego tłocząc go w szufladkach partykularyzmu i wyznaczając śmieszne etykietki prawomyślności narodowej?

Gdzie się podziało to wielkie poczucie, w którem mogliśmy mówić o sobie. że „całą rozległą stroną swego ducha żyjemy życiem Polski". że „im więcej jesteśmy Polakami, tem mniej z życia Polski jest nam obce"? Partykularyzm myślowy podzielił nas na kasty, obozy i partyjki, z których jedne uznane są za „naród", a drugie za jego wrogów.

Synhedrjon samozwańczej mafji. który zapomniał o katechiźmie i myślach nowoczesnego Polaka — ścieśnił pojęcie narodu do granic maleńkiego podwórka, a wywieszając nad nim swój szyld uznał, że jedynie to jest narodowe, co się na tem tylko podwórku zatrzyma.

* * *

Ten wielki, niebezpieczny błąd trzeba naprawić. Myśl narodowa musi przybrać właściwego ducha i wrócić do pierwotnego łożyska, którem popłynie szeroki uniwersalny prąd życia Narodu polskiego. Dokonać się musi regeneracja myśli i idei narodowej. Muszą one wyjść z ciasnych granic partykularyzmu i objąć swojem ramieniem całość życia polskiego.

* * *

Niewłaściwy stosunek starego obozu narodowego, jako reprezentanta myśli i idei narodowej w Polsce do zagadnień twórczości polskiej na polu literatury i sztuki doprowadził do pożałowania godnych rezultatów. Z jednej strony ci wszyscy, którzy tworzą w Polsce — znajdują się w większości w opozycji do myśli narodowej, z drugiej zaś ci, którzy tę myśl formalnie reprezentują od bardzo długiego już czasu nie mają wobec twórczości w Polsce innych słów — prócz surowej krytyki i innego stanowiska — prócz negacji. Równocześnie coraz częściej twórczość polska wymyka się z atmosfery wpływów myśli narodowej, a to, co w niej pozostaje jest dziwnie blade i mizerne.

Rozumiemy, że nie wszystkiem należy się w tej dziedzinie zachwycać. Znamy doskonale braki, wady i niebezpieczeństwa. Ale też nowoczesna literatura i sztuka polska dopiero się wykluwają i szukają cieplarni, w której będą mogły się rozwinąć skrzydła do wielkiego lotu po okresie tak bardzo destruktywnym, jak ten, który ccdopiero mijamy. Pocóż w takich warunkach rzucać bezmyślne gromy na wszystko. co się wokoło nas dzieje. odgradzać się murem chińskim od całej rzeczywistości choćby najsmutniejszej? Czy jedyną właściwą pozycją jest w przybranych sztucznie togach katońskich potępiać w czambul wszystkich. przylepiać im etykiety „komunistów". „bolszewików", skoro do czynienia mamy w olbrzymiej większości z młodymi talentami wyrosłymi kość z kości. krew z krwi ludu i proletarjatu rdzennie polskiego?

Do czego prowadzi taka postawa? Czy nie lepiej — choćby ze względów wychowawczych — otoczyć tą ciekawą, ze wszech miar interesującą gromadę młodych twórców dobrem słowem, baczną opieką. serdecznem wyróżnieniem? Czy nie zasługują może na to? Czy w ich nie zawsze jeszcze sprawnych słowach czy twórczych próbach nie tętni mocny. twardy, aż czasem jaskrawy wyraz budzących się, nieznanych. ale prawdziwych sił Narodu? Czy to nie przemawiają przez nich utajone głębiny ducha, myśli. pragnień i tendencyj narodowych?

Nie są podobne do tych, co minęły? Czy tylko tamte mogą być uznane za wielkie? Czy na tamtem skończyła się wędrówka naszego bytu i rozwoju narodowego?

Czy lepiej, jeżeli nad tą całą dziedziną roztoczą swoje podejrzanie opiekuńcze skrzydła „Wiadomości Literackie", niż bliższa duchowo im myśl narodowa?

Nie trzeba tracić słów. Jest jasne — powtarzamy — że niewskazany byłby cielęcy zachwyt, ale głupią trzeba nazwać postawę wiecznie obrażonej na wszystko negacji. bo Polska toczy się bez przerwy, czy ktoś chce, czy nie chce i trzeba jej życie chwytać na gorąco. zawczasu kształtować i formować na każdem polu.. Przedewszystkiem zaś chyba w dziedzinie ducha i myśli.

* * *

Tą właśnie ideę pragniemy dzisiaj podkreślić na odcinku twórczości narodowej. Należą do niej nietylko ci, którym synhedrjon talmudystów przypiął szyld nienagannej jakoby etykiety narodowej, ale wszyscy, którzy czerpią swoją myśl. poją ducha, wywodzą swój rodowód ideowy z Narodu polskiego. Nie muszą być wielcy na miarę Fidjasza, nie muszą głosić to tylko. ćoby się chciało w Polsce dziś słyszeć. Mogą błądzić. ale i wówczas reprezentują twórczość Narodu, taką, jaką ona w danej chwili jest.

„Wszystko co polskie jest moje.. Jestem Polakiem, więc całą rozległą stroną swego ducha żyję życiem Polski..... Im więcej nim jestem. tem mniej z jej życia jest mi obcem".

Te słowa nie mogą pozostać pustym frazesem. ale muszą się stać treścią nowego ruchu i nowej myśli narodowej w Polsce.

Dziesiąty numer »Akcji Narodowej« poświęcony poezji, literaturze i sztuce pięknej wychodzi wyjątkowo pod naczelną redakcją WŁADYSŁAWA JANA TURZAŃSKIEGO, laureata lwowskiej «Czytelni Akademickiej».

TADEUSZ HOLLENDER

We Lwowie

Zwykle do jedenastej łukami perspektyw
szemrze noc latarniami — perłami na sznurach,
szumi park, drzemie głowa nad paskiem korekty.
usiada noc chmurami na siedmiu pagórach.

Może Rzym, może Londyn morzem mgły podpływa,
może florencki Kraków na tym lwowskim rynku.
i któż wie ile troski i życia ubywa
w spłakanym harmonjami łyczakowskim szynku.

Może żadne Warszawy, Paryże, ni Rzymy
nie kryją takiej pustki na wylotach ulic,
gdy w mrok bram po dziesiątej zamkniętych tulimy
twarze — i tylko smutku nie można utulić.

Tak patrzymy z teatru w najpiękniejszą w świecie
perspektyw, krajaną lampami przez mroki.
tak lecimy uliczką przez mgliste stulecia
pod ormiańską katedrą, prującą obłoki...

Tak śpiewamy piosenki, wychodzimy z kina.
tak znudzeni czytamy prasę po kawiarniach,
tak wiecznie się nam życie kończy i zaczyna.
i tak świat zagarniamy, tak nas świat zagarnia.

Aż odkrycie — raz nagle Bernardyński kościół
po nieprzespanej nocy o którejś nad ranem
śmigły. prosty, cudowny, piękny jaknajprościej
pod pogodą niebiosów i burzą kasztanów.

Miłość! Miłość! — Aleje, a jesienią cmentarz
i wszystkie lwowskie parki w niebo strzelające.
i włóczęgi po mieście — jeśli noc przeklęta.
i gdy słodka — czekanie na wybuchy słońca.

Czekanie na wybuchy, na świty czerwieńsze.
które wciąż burza czasów niepewnych odwleka,
gdy piszę — noc jest słodka, na swem trzeciem piętrze
zamykam wiersz nad miastem — i czekam. i czekam.

MACIEJ FREUDMAN

Don Kichot

W piaskach bezbarwnych jak okolne życia
pełza spewnością kształt twojego cienia
i szumią wiatraki: przyjdź jeszcze i zwycięż
i szumią szepty w osklepionych sieniach.

W piaskach wyzutych żarem słońca z serca
została twa dusza w okowach legendy
już nikt po tobie smoków nie uśmierca
i wszystkie w Hiszpanji Dulcineje zwiędły.

Czasem Rozynant się zerwie z obrazka
zawieszonego w zakrystji kościoła
by chłopską sochę kopytami strzaskać
i za swym panem po bezkresach wołać.

Czasem z tłustego snu się Sanszo zbudzi,
schwyci motykę w czarne swoje dłonie
na drzewce przypnie szmatę purpurowych złudzeń
i poleci rewolucję robić w Barcelonie.

To wszystko. Salwą śmiechu wystrzeliły w wieki
chude członki. włóczące po błocie ostrogą.
Przemierzyłeś poezją stulecia dalekie,
by stanąć do oczu niezwalczonym bogom.

Ludzie kłamią. Mówili, że wtedy przed laty
biłeś tylko zrodzone w rojeniach swych smoki,
żeś szedł oszalały niewidzącym światem
pod bezrozumnym fantazji urokiem.

Ludzie kłamią. Włożyli kopję w twoje ręce
blaszaną, grotowi dali trochę rdzy,
z czaszki łysej zmietli resztkę rycerskich twych święceń
w wiatraków koszmary przetopili sny.

O! Gdybyś wstać mógł z pleśni słów cerwantesowych
gdybyś raz jeszcze nad światem potrząsnąć mógł włócznią
tarczy twej i zbroji z trudem szorowanej połysk
zapaliłby ogień w oczach czekających uczniów.

Gdybyś na Rozynancie twym wjechał w paradzie
na Piccadilly lub Place d'Etoile,
gdybyś na grocie Tour d'Eifel posadził
i pchnął szczęk oręża w mroczną buildingów dal

z rozkoszą bym zrzucił krawat i kołnierzyk
miast Sansza bym stanął u twej uździenicy,
w wszystkie wiatraki bym jak ty uwierzył
i Dulcineje zbierał na ulicy.

ZDZISŁAW KUNSTMAN

Spotkanie

I znowu cię spotkałem;
dogoniłaś mnie na ulicy,
w twarz mi bezczelnie zajrzałaś
oczyma ulicznicy. —

I znowu, znowu jak wtedy,
kiedym cię spotkał na rynku,
czarne nasze niedole i szare nasze biedy
wzięliśmy z sobą na wódkę — do narożnego szynku...

— Usiadły z nami przy stole
niedole nasze i biedy,
jak wtedy z nami śpiewały
szklankami się z nami trącały
przy brudnym karczemnym stole..

Twarz miałaś niezwykłą i bladą,
cień twój drżał chwiejnie na ścianie:
blady szynkarz za ladą
przyglądał się nam podejrzanie...

Biedy się wódką upiły,
pod stół zwaliły niedole —
ty długo do mnie mówiłaś
przy brudnym, karczemnym stole —

mówiłaś, że wszystko mija
prócz twoich żałobnych przeznaczeń,
że ciężko jest ciągle zabijać
i słuchać ludzkiego płaczu...

że dość masz okrutnych wspomnień.
że jesteś tem wszystkiem znużona,
że chciałabyś o mnie zapomnieć
gdy przyjdzie ci wyrok wykonać...

Mówiłaś, że późną godziną,
gdy błądzisz po ciemnych ulicach,
każda spotkana dziewczyna
ma twoje znużone źrenice

że nieraz choć nie wiem o tem,
gdy usta całuję czerwone
i włosy, całuję złote,
ty jesteś w moich ramionach.

* * *

Pamiętasz? — już dzień był — jak wtedy
słońce przez szyby zajrzało —
czarne moje niedole i szare moje biedy
przy stole ze mną zostały...

*

Zakwitły wiśniowe sady,
upiły się wiosną ulice —
chodzi za mną dwoje oczu bladych,
patrzą na mnie dwie białe źrenice.

Maj 1934 we Lwowie.

L. KUŹNIARZ: NA POSTERUNKU



ALEKSANDER BAUMGARDTEN

Conrad Veidt

Krzyczy na poprzek świata stubarwnych reklam raid:
Patrz! wbita na miljon oczu, drga ludzka dusza — Veidt!

Wysmukły gotyk palców znękaną oplótł twarz:
To tylko praski studencie prócz krwawej szpady masz.

Może dziewczyna obca — w złych, niedospanych snach,
Skradnie to serce smutne, jak fotos na brudnych drzwiach.

I tak ich świat rozdzieli — tyle dalekich mil. —
Sam snuje tragiczny Conrad — swój stary, siwy już film...

STANISŁAW ROGOWSKI

Kres

niby proste są biegi podeszew
serca chwieją się twardym łomotem
ale w świeży czarnoziem po deszczu
nieprzejrzanie czernieją wywroty
górą tylko swoboda
a niżej
o błotnistość klaszczą lepko stopy
liże
woda
tysiącami kropel

— — — — — — — — — — — —

bieg nasz w długość daleką się rozparł
że horyzont jak kreskę przerwać
górą niebieski opar
muzyczności sekund interwał

— — — — — — — — — — — —

a gdy wieje akacjobenzyną
i stalowy nas połysk siecze
polichromję miasta trzeba minąć
i na mokre paść ostromlecze

— — — — — — — — — — — —

ramionami czegoś nie dostać
czemuś nie oprzeć się ciałem
gdy niedosyt wlewa się w usta
wodną strugą — wiewem zwilgotniałym

— — — — — — — — — — — —

co za rzeką — pewnie za mostem
w jedynastej stronie naszych tęsknot
może wreszcie w modlitwie ostów
zakołuje abstrakcyjne piękno

— — — — — — — — — — — —

w fioletowej wstędze zachwyceń
noc się czarną kulą wytoczy
— a w oczach
: topią się w wiśniowym sadzie topielice
noc wielodniową treścią
nad głowami przeszumi spokojnie
aż nad ranem ostrze dnia z rękojeścią
w pierś się wbije w melodyjny koniec

KAROL KURYLUK

Idea i program

Zagadnienie ruchu młodoliterackiego we Lwowie

1. Zupełnie świadomie odróżniam te dwa pojęcia — tak, poprostu, bez filozoficznych omówień i zawikłań. Nie mają się one tu przeciwstawiać, lecz uzupełniać.

Idea — to sprawa wyższego rzędu, szersza i głębsza. Idea — to siła, to wyobrażenia, to nieustanny zapalnik myślowy i uczuciowy, nigdy się nie wyczerpujący. Idea się nie zmienia, a przynajmniej niełatwo i nieszybko. Idea jest twórcza, jest zapładniająca umysły i serca ludzkie, jest porywająca. Żąda ciągle dociągnięcia człowieka do swej wyżyny — rzadko się to udaje. Idea jest kwestją nieustannego jutra.

L. KUŹNIARZ: JÓZEF PIŁSUDSKI



Kwestją dnia dzisiejszego jest program, jest planowa, myślowa, logicznie rozłożona robota, mówiąca wprost, co i jak. Program — to zdobywanie doświadczeń w walce w imię idei, wypełnienie ich nowym zapałem i rozłożenie na punkty, na wytyczne — sumy doświadczeń, zamiarów i planów dla osiągnięcia jutra. Program — to nieinaczej, jak idea na codziennym żołdzie praktycznego życia. Życie się zmienia, zmienia się więc i program i do tego życia się nie tylko przystosowuje, ale właśnie w imię idei ciągle czegoś nowego od niego wymaga.

Życie nadąża za programem, program zaś za ideą. Na tem się zasadza świadoma kulturalna twórczość ludzka: na zdolności tworzenia nowych idej i dociągania do nich powolnej, opanowywanej ustawy. Jest to tworzenie wartości i rzeczywistości wyższego rzędu.

Niema wyboru: natura czy kultura. Jest tylko decyzja: kultura. Kultura w jedynem tego słowa znaczenia: kultura duchowa.

2. Takie postawienie sprawy wybawi nas w dalszym ciągu od kłopotu. Wiadomo nam już, że każdy twórczy człowiek posiada ideę i program; w imię ich tworzy, działa, myśli. Posiadać ją winna każda społeczność zorganizowana, t. zn. istniejąca na pewnej głębszej zasadzie, mająca w swem istnieniu jakiś istotny sens. Są to stwierdzenia, nie potrzebujące chyba uzasadnień i przykładów.

Zabierzmy się teraz do sprawy, która nas obchodzi i w tej chwili boli: do sprawy literackiej, a szczególnie sprawy kultury literackiej na terenie młodego, piszącego Lwowa.

Dla wyjaśnienia jej pomogą nam może słowa Irzykowskiego, który w artykule, umieszczonym w drugim zeszycie „Skamandra" (luty, 1920) ocenił i odpowiednio sklasyfikował występ „Skamandrytów", którzy chlubili się szeroko tem, że wyszli na świat z programem bez programu.

„Od kiedy śledzę powstawanie pism literackich w Polsce, nie widziałem ani jednego, któreby się ośmieliło zdeklarować i wyznać jakiś program. Powstawały wprawdzie wskutek doboru współpracowników z czasem pewne odrębności i ekskluzywności, ale były to nie programy, nie szkoły, lecz kliki, chociaż kliki szlachetne. Zawsze zasłaniano się tem, że „życie", szerokie i różnorodne życie, nie znosi „ram" narzuconych mu z góry, rozsadza żywiołowo „szufladki" — więc w imię tego nieokiełznanego, nieobliczalnego życia „otwieramy łamy wszelkiej szczerej twórczości", a odżegnywamy się od wszelkich „izmów", jako wymysłu zagranicznego."

...w polskiej literaturze są tylko arcydzieła, ale niema literatury w znaczeniu ruchu literackiego, który zuchwale pozwala sobie na wytykanie własnych celów i przez to osiąga własne ziszczenia lub dorabia się własnych błądzeń.

Niestawianie sobie programów jest objawem małoduszności. Zrozumiałe ono było jeszcze u literatów z pokolenia starszego, którzy już mieli czas stać się zblazowanymi sceptykami, lecz dziwne jest u pokolenia najmłodszego, które się jeszcze nigdy nie sparzyło, a już na zimne dmucha.

Programy są spojrzeniem wstecz i dzieleniem nieobliczalnego życia przez znane. Najłatwiej też tworzy się program, gdy przez chwilę, dzięki jakiejś intuicji, nadpoczęło się już jaką działalność, gdy się poznało i opór materjału i siły własne, na tej podstawie budzi się apetyt na czyny dalsze i szczere. Ale program, obejrzany wszechstronnie, jest także antycypacją „życia nieobliczalnego" w materjale „obliczalnego", tak jak doskonałość boska przecież jakoś określa się słowami ludzkiemi. Program jest skokiem oka naprzód. Program jest pociskiem wystrzelonym w Marsa. — ktoby żądał, żeby taki pocisk robić tylko z materjałów znajdujących się na Marsie, a nie z materjałów ziemskich, popełniłby praktyczną petitio principii.

...gdy się ma program, ma się także niespodzianki nadprogramowe. Bezprogramowością nie ruszy nawet z miejsca.

Programy literackie szanowały miłosny akt twórczy, ich treścią była nie dokładna reglamentacja twórczości, lecz błyskawicowa wizja pewnej jakości, pewnych stosunków w zakresie techniki artystycznej, w zakresie dobra treści, szczególne ujęcie t. zw. rzeczywistości... Przez te rzuty myśli miewały programy wartość orjentującą dla wszystkich, nie tylko dla wyznawców programu, miewały ją nawet, gdy były zagadkowe, bo człowiek orjentuje się fikcją wśród fikcyj. Ale oprócz wartości praktycznej tkwi w programach nieraz i wartość artystyczna tak wielka, tak już wrośnięta w kulturę, że trzeba dopiero pewnego nastawienia wzroku, by ten walor dojrzeć. Nie dam się przekonać, żeby sam „izm", jako końcówka etymologiczna, nie był wielkim poematem, żeby pojęcia: romantyzm, naturalizm, symbolizm, jako wizje dzieł potencjalnych, nie miały w sobie swej zapierającej dech perspektywiczności, owego pars pro toto, które są cechami wszelkiej sztuki."

Powyższe wywody Irzykowskiego należałoby uzupełnić paru zdaniami, które wypowiedział przy innej okazji:

...„nowe pokolenie literackie, wychowane na krytyce do cna tabutycznej (mniej więcej w tem — może szczerem — znaczeniu, w jakim użył Boy „bronzowniczy", przyp. K. K.) i zabobonnej, przeto orjentującej się w ogólnych kwestjach twórczości zasadą dosłownie wziętej intuicji czyli raczej bierności. Powiada się poprostu: mam talent albo go nie mam, a jeżeli go mam, to położę się pod nim jak pod gruszą, otworzę gębę i będę czekał, aż dojrzały owoc sam w usta mi wpadnie.

...w takich okresach (jak dzisiejszy) nadarza się szczególna sposobność błyszczenia nowością bez ponoszenia jej kosztów, powstaje mieszanina oryginalności i naśladownictwa, w której umysły niesamodzielne, lecz ambitne najlepiej się czują."

Ten wywód o braku programu (Irzykowski nazywa to programofobją) należy uzupełnić. Brak programu jest wynikiem braku idei: idei życia i wynikającej z jej założeń idei literackiej. Niema twórczości bez wielkiej i nowej idei poetyckiej czy literackiej, niema wielkiego życia bez wielkiej i nowej idei.

Nie wolno nadużywać zbyt jaskrawych i patetycznych słów. Wskutek nieudolnego i nadmiernego używania wycierają się, stają się nic nie znaczące i pośmiewiskiem kretynów.

Takie słowa muszą mieć równoważną zawartość.

3. Pomimo złudzeń wielu, nawet dość poważnie zaawansowanych i dostojnych postaci, że we Lwowie od pewnego czasu coś się jednak dzieje, musimy z przykrością stwierdzić, że nic się nie dzieje, co najwyżej — bardzo mało. Literatury starszej nie ruszajmy — wyemigrowała, lub — znacznej części grofomańska — po początkowej reklamie i sukcesach, o kórych wiedzą tylko wtajemniczeni, zamilkła wygodnie i dostojnie i żyje wygodną przeszłością i słodkiemi wspomnieniami, że „dziś to nie to — były czasy, kiedy to ze Staffem, panie dobrodzieju, z Kasprowiczem, Irzykowskim, Brzozowskim i wielu tam pod rękę na winko się chodziło — ho, ho, — z Sienkiewiczem i Żeromskim bruderszaft piliśmy i na

JULJAN MIKOŁAJSKI: ŚW. KRZYSZTOF

rzeźba z sosnowego drzewa



dziewczynki chodzi.i.... Dawne to czasy". Słusznie.

Ale nie lepiej jest z literaturą młodszą. Nawet gorzej, bo — młodzi:

Przez jakiś okres nic się nie działo. Pojawiały się nieznaczne efemerydy osobnicze, i po trudnem przebijaniu się poprzez nastroje i opór bierności i niechęci tych, którzy chcieli spokoju, dawali za wygrana, studjowali pilnie polonistykę i gramatykę starocerkiewnosłowiańską, zdawali magisterja i szli na posadę do Pipidówki. Tam czerwonym ołówkiem w zeszytach szkolnych znaczą gorącość i żar swojego byłego poetyckiego czy literackiego zawodu. Są to straceńcy życiowi i zwykle najgorsi pedagodzy, cynicy.

W pewnym okresie czasu objawił się znaczniejszy ruch masowy. Były podstawy do nadziei, że jest to objaw poważniejszy i ma przed sobą i w sobie jakąś przyszłość. Niestety — nadzieje i oczekiwania okazały się w znacznej części nieuzasadnione i płonne.

Powstali Rybałci i wystąpili z Berentowemi „Żywemi kamieniami" jako ewangelja i programem życia i twórczości. Świadomie uprawiana mętnologja w rodzaju: nie ograniczamy niczyjej twórczości, każdy niech znajdzie swój własny wyraz, treść, formę, my jesteśmy porozumieniem się ludzi, pragnących uprawiać czystą sztukę; każdy do nas może przyjść, przyjmiemy go z otwartemi rękami; chcemy życie zbliżyć do sztuki; idziemy na szerokie gościńce, na rynki, jarmarki itp. Słowem, mniej więcej w tym sensie wygłaszanym i propagowanym towarzyszy zwykle podniosły patos i nieznośna pompatyczność. I „Żywe kamienie" jakie wyznanie wiary!

Piłujący zwykle do dna Irzykowski nazwałby to delikatnie ramiarstwem. O wiele solidniejszą i mającą dalsze perspektywy przed sobą próbą skupienia i zorganzowania życia młodoliterackiego we Lwowie są Sygnały. Cóż z tego jednak. Jeśli cofniemy się do pierwszego numeru, znajdziemy w nim taki bezprogramowy program, na który słusznie ciska się Irzykowski:

„Wychodzimy na świat bez programu! Nie chcemy wypowiadać szumnych słów i haseł, ani stawiać papierowych granic, tężających potem w mur, o który musielibyśmy kiedyś tłuc bezradnie głowami. Odważamy się wyjść bez sztucznie stworzonego programu. I wychodzimy!"

I tak dalej w tym szumnym tonie. Nic więc dziwnego, że itak Rybałci, jak i Sygnały, postawiwszy przed sobą coś tak nieokreślonego, a właściwie nie postawiwszy niczego, bo nie wiedzieli co mają postawić, czego mają chcieć, co mają do powiedzenia i po jakiej linji mają iść i rozwijać się walczyć (tak, walczyć — pokonywać opory w imię czegoś i o coś!) i jedni i drudzy stanęli po pewnym czasie bezradni, gdyż nie wiedzieli, co mają z tym fantem zrobić. Chodzi tu szczególnie o Rybałtów: poza reklamą i urządzeniem kilku wieczorów poetyckich, które w całości potwierdziły, jak wielkim nonsensem jest bezprogramowa programowość, w której uprawia się — z jednej strony: osobistą adorację (rozmowy między poetami są mniej więcej w tym tonie, jak między bronzowym pomnikiem Mickiewicza a niemniej bronzowym pomnikiem Słowackiego), z drugiej — jakieś obłędne, nieokreślone gadulstwo, ot, poprostu akwizycją ludzi dobrej woli na własny talent, genjusz, wyższość powołania poetyckiego.

ZOFJA BALTAROWICZ-DZIELIŃSKA: RYCERZ SKRZYDLATY



Fot. L. Wieleżyński

Jeśli doszukiwało się czegoś bardziej orjentującego, czegoś poważniejszego już choćby w znaczeniu popularnem talentu, to poza kilku szczerymi i przekonanymi o świętości głoszonej sprawy osobnikami bez większej indywidualności, wśród innych odkrywało się bluff, zakłamanie, grę w trzy karty.

Jedno trzeba podkreślić: Rybałci wytworzyli wśród młodych potrzeby zanteresowań artystycznych i kulturalnych, obejmując swym zasięgiem większe koło, wytworzyli atmosferę podniecenia literackiego. Nie wnieśli jednak nic pozytywnego, nic twórczego.

Ktoś może zarzucić, że brak był tam talentów, ja jednak przerzucę zagadnienie na teren bardziej skreślony: jako organizacja nie mieli Rybałci jasnej, skrystalizowanej, wspólnej idei, do której mieliby dążyć i na której podstawie mogliby stworzyć własny program poetycki, artystyczny. To, co mieli było tylko mieszaniną plagjatu i odpadków z różnych dawno przebrzmiałych myśli. A przecież twórczość chyba na tem polega, że się tworzy coś nowego, a więc i nowy winien być program i nowa idea. Tej idei nie było. Ludzi łączył interes — interes szlachetny.

Niefortunny, bezprogramowy program, wygłoszony entuzjastycznie w pierwszym numerze, zdołały Sygnały w dalszych numerach zatrzeć i zniweczyć. Nabrały pewnej, dość może nieokreślonej i niekiedy banalnej orjentacji, nabrały pewnej dynamiki i zdobyły pewien świadomy punkt: poszukiwanie idei i programu. Ale to poszukiwanie dotyczy raczej zagadnień społecznych, — a niżeli literackich. Brak jeszcze ciągle jakiejś wizji artystycznej. I dlatego Sygnały, drukują młodych poetów wszystkich możliwych kierunków, i drukują nietylko młodych, ale także starszych, którzy mimo wszystko najwięcej jeszcze mają do powiedzenia. Sygnały stają sie pewnego rodzaju magazynem twórczości autorów lwowskich. Bodaj w tym kierunku stwarzają coś pozytywnego i pozwalają się nie łudzić, że życie twórcze, kulturalne na wielką skalę we Lwowie nie istnieje.

4. Sprawa jest w dalszym ciągu otwarta.

Tak długo nie będzie we Lwowie życia i ruchu literackiego na większą skalę, jak długo nie wystąpi człowiek, grupa, czy też pismo z mocną, gruntowną i nową ideologją, z mocnym, uderzającym i bojowym programem. Wtedy dopiero można będzie wiedzieć jak i co.

I to jest sprawa poważna. Tylko duchy i umysły płytkie potrafią ją zlekceważyć i przejść do porządku dziennego. Przewidują to: talent sam się wybije i znajdzie swoją drogę. I jak się mówi talent, to się ma na myśli: poeta. Ale dajcież spokój: okazuje się, że najłatwiej jest pisać wiersze. Wierszokleci poprostu zaprzepaszczają sprawy literackie i artystyczne, robią im w opinji popularnego ogółu najgorsze imię. Powinno się tym nachalnym osobnikom, wydającym corocznie setki tomów własnym nakładem, nałożyć jakieś, prawne wędzidła: w razie dalszej szkodliwej działalności — Bereza Kartuzka:.

Pozwolę sobie wznieść okrzyk: za mało mamy prawdziwej poezji, za mało literatury, a zadużo wierszy i t. zw. P. T. poetów.

AL. BAUMGARDTEN

Czerwiec

Oparty ciężko o piersi kamienic
Odwrócił głowę w odchodzący dzień —
Oto nam gwiazdy zaciężą u źrenic
I tylko nami noc swe sny przeliczy.
Jesteśmy tylko niczem
Co klęka w urok milczenia
A pozatem
Jesteśmy latem.
I nic się więcej — nie zmienia.
Deszcz przez nas w przeszłość
przepluskał
Przytulił wilgotne usta
I ustał

I wciąż — na nowo,
Włóczy się po nas niepotrzebna cisza,
Nocą — akordem granym minorowo,
Na czarnych tylko klawiszach.
Kiedyż się księżyc ociężałym startem
W okrągłą podróż poderwie? —
Wpatrzyły się okna szeroko rozwarte
W czerwiec...
I „dziś" jest bardziej soczyste niż
„wczoraj"
i coraz cięższej dzień się w noc przelewa —
W inspektach czasu dostojnie dojrzewa
Pora!
A wieczorami — w ogródkach —
wstydliwie
Dzieje się jedna, najważniejsza
sprawa:
Smyczkiem zapachów trącona wiola:
Wzdycha w noc —
Matiola...

MACIEJ FREUDMAN

Trubadur

Nikt nie wie gdzie mieszka księżyc,
a śpiew mój jest jak lunatyk
— wciąż noc za nocą mitręży
u białych zamkowych sztachet.

Mury śpią myślą o wiekach,
księżniczki śnią o miłości
...kto zechce, jak ja wciąż czekać
pod oknem rozwartem na oścież!

Serce się włóczy wzdłuż fosy
zwodzonym mostem westchnień,
dziś tysiąc śni mi się wiosen
...a żadnej nie mogę prześnić!

Zaśpiewałbym ci kanconę
gorącą jak wstydu rumieniec
za tysiąc wiosen straconych,
za łzy tęskniących źrenic!

Wspiąłbym się aż w twoje okno,
by pieśń ci zaśpiewać wprost w oczy,
by włosów twych ręką się dotknąć
i w łzach twych usta swe zmoczyć.

Zakradłbym się aż do komnat,
by pieśnią cię rzucić na łoże,
— byś raz wreszcie mogła mnie poznać
i drugi raz drzwi swe otworzyć.

Lecz wiem, że tak nigdy nie będzie,
że nigdy nas noc nie zespoli
...że znajdę cię zawsze i wszędzie
tylko w akordach mandoli...

WŁADYSŁAW JAN TURZAŃSKI

Handel i przemysł

W państwowych arterjach ruchu, w cieniu narodowych bander,
pracy rozmachem szerokim do portów jutra płyniemy —
uczyli się obcy twardych nazwisk naszych przez handel,
kiedy dalekim wschodem na Śląsku ożywił się przemysł.

Każdy dzień był kuty w hucie wydarzeń gorącej,
mocarnemi rękoma miljona polskich robotników —
rozpaczliwie wołały o pracę głodne, zimowe miesiące,
gardłem Gdyni w mleczno-zieloną sytość Bałtyku.

Każdy dzień wysiłki nasze przetapiał i palił
i białe noce do pracy tytanicznej sprzęgał —
...aż morzem pot zapachniał u Wieliczki salin,
aż chłopskim chlebem w Anglji zaczernił się węgiel.

Obieżysasie wygnany z Europ, Ameryk i Azyj —
jaśnie magnatów protekcją zawszony robocie!
w twoich dłoniach zakrzepłych od czynu w żelazo
kołyszą się „sny o potędze" i kwilą sny o powrocie...

Tul błękitne niebo Warszawo w betonowe barki!
toń w planowych mirażach o szczodro-plonnym ugorze!
jutro żołądki świata handlowa biel marynarki
zasypie kwintalami w Polsce spasionego zboża.

T. WOJCIECHOWSKI: MUZYKANTKA



W. J. TURZAŃSKI

Miłowanie

Ty jesteś inna — zawsze taka sama,
jesteś — jak żywy i dobry sakrament.

Może cię znałem poprzednio, już wcześniej;
cień twój sny moje pootulał we śnie.

Słysz! serc rytm szemrze szkarłatnym szelestem:
dziwne, że jesteś i że ja też jestem —

Do siebie szliśmy łańcuchem pokoleń,
w mroku — przez drogi doli i niedoli.

Wierzę, że teraz już pójdziemy razem,
istotą cichej, najlepszej ekstazy.

Ty, moich natchnień pozapalasz znicze —
ty będziesz moją jasną Beatrycze

I tam się spotkają po „tamtej stronie"
rozkochane dusze nasze na koniec...

MARJAN PROMIŃSKI

Skoki cienia

(wiersz skojarzeniowy)

I.

Na ścianę kwadratem blask padł,
srebrzyste skoczyły walce,
ćmiąc w rynien cynkowych laskach
sztywnym księżyca zakalcem.

Malachit prószy po dachach,
malachit od nieba wyklęsku.

— — — — — — — — — — — — — —

Pod ścianą się waham, nie-waham,
za którą pójść z moich tęsknot.

Na prawo — powieka bezbrzeży,
na lewo — fabryczny zator.
Przedemną w żelaznej wieży
cichutko... grzmi transformator.

Szyby śpią bielmem białawem,
niemota i spokój wszędzie.
W szpulach przez szklane sustawy
śmierć się przepłazem przędzie.

Drobniutki, głuptawy poryw —
głową przez zwarte blachy
połączyć dwa konduktory
i ściąć się piekącym strachem.

W skroniach różowy świderek,
o mur podeszwami trzepnąć,
zegar życiowy na zero — — —
i w błotku grzecznie zakrzepnę.

II.

W pustką nasyconem mgnieniu
przeszedłem od życia do śmierci.
Jakbym tonację z -dur w -mol przeniósł,
a takt pozostał: „trzy ćwierci".

Skoczyłem — cienki transparent
na okna palcami kominów.
Włażę w sypialnie szare
na pulsy miłosną godziną, —

w radosny szum uniesienia,
w mięsem pachnące zmagania.

— — — — — — — — — — — — — —

A potem... odprowadzam wraz z panią
do drzwi obcego mi drania.

Na schodach brzęczy jak osa
żarówka i szept cichy, kobiecy,
Zapalam z nim papierosa,
(na ścianie), ziewamy: przesyt.

III.

A w drugim już rogu ulicy
nowym ludziom z pod pięt wyłażę,
na wszystko czarny plastr tajemnicy;
to są zbrodniarze!

Ktoś idzie... błysk niklowy, stalowy, mosiężny,
trzask lamp... „Rudi, Papuga, Ticjan, razem!" — Już mordą rżnie o krawężnik!
„Policja! Polii-cja!!"

IV.

Skoczyłem napowietrznym kozłem,
młócę za nocnym ekspressem.
Gwizd w polach jak bat się rozległ,
kostkami okien śnieg czeszę i czeszę.

Sypialny niebieski cwałując dzwoni,
Śródnocny senny wycina gawot,
Jadalny z kryształów, flakonów, mahoni
paruje ciastem i... poranną kawą.

Trzeba na przeciętej stacyjce mi zostać,
Świta ...brrr, zimno jak w psiarni —
semafor żółknie na pobliskich mostach,
czuję smak odgryzionej latarni.

LUDWIK LILLE

O przyszłość sztuk plastycznych we Lwowie

Leży przedemną wyciąg z księgi protokołów Komisji Wawelskiej.*) Państwowy Komitet odnowienia Zamku Królewskiego polecił kierownictwu, by wespół z innemi komisjami zaprosiło szereg artystów-malarzy do opracowania projektu polichromji plafonów.

Następują potem nazwiska zaproszonych: prof. Weiss z Krakowa, Pękalski z Warszawy, Slendziński z Wilna; dalej kilku malarzy starszych, również z Krakowa i Warszawy i 4 grupy artystów młodszych: krakowska, warszawska, wileńska i paryska. Lwowa nigdzie tam niema. — Konkurs wawelski odbył się raz jeden i tylko raz miano możność zaproszenia artystów.

„Towarzystwo Szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych" urządziło natomiast cały szereg wystaw, w których wywiozło kilkadziesiąt tysięcy obrazów, rzeźb, grafik, kilimów itp.

Ale ani razu nie zaprosiło artysty ze Lwowa.**)

Czyżby produkowano w tym Lwowie tylko złą sztukę? Czy Kraków lub Warszawa są zgóry predystynowane do tworzenia arcydzieł? W czem tkwi przyczyna tego zjawiska?

W Krakowie jest artysta żywą, dla wszystkich wyczuwalną częścią miasta. Za czasów „Młodej Polski" rządzi niem wraz z poetami. I nie trzeba ani „Jamy Michalikowej" ani „Paonu", aby wtedy udowodnić jego wszechobecność. Co więcej! Z taką siłą wybija swe piętno we współobywatelach, że część ich poczyna odczuwać sztukę jako konieczność życiową, na równi z powietrzem lub wodą. Inni nie mają już tego fanatycznego stosunku do spraw sztuki. Rozumieją jednak, że artysta jest dla maista tak samo potrzebny, jak szewc, krawiec, kupiec czy przemysłowiec. Od tego czasu zmieniło się dużo w Krakowie. Nie z winy Krakowa, ale z powodu zmiany ogólnego ustosunkowania się naszych czasów do spraw sztuki.

Mimo wszystko jednak jest artysta-plastyk w Krakowie ciągle wszechobecnym.

Wyzwolenie Warszawy nastąpiło w tych czasach, kiedy artyści utracili dużo z swego pierwszoplanowego znaczenia, jakie zdobyli w okresie „Młodej Polski".

Jednak poczucie stolicy, duża ilość artystów zebranych w jednem mieście, i tradycje z dawnych czasów, potrafiły wytworzyć z Warszawy centrum życia artystycznego.

W tem mieście nie odcinają się artyści od ogólnej sylwety. Ale w kilku miejscach Warszawy żyją jednem życiem. I tam mogą ich odnaleźć i najdują ci wszyscy, którym bliską jest sztuka.

Zupełnie inaczej jest we Lwowie. Tu, na powierzchni całego miasta nie odczuwa się obecnści artysty. Czyżby ich wogóle nie było?

Są, tylko pracują zamknięci w swoich pracowniach, nieznani przez nikogo i nikomu nie potrzebni.

Skąd to poszło? Jaka jest przyczyna tych 2 kół, miasta i artystów, wiecznie w sobie zamkniętych i nie mogących się przeniknąć?

Kraków miał oddawna Akademję. Uczyli w niej, o czem wiedziała cała Polska, artyści, którzy w rzeczywistości, czy pozornie stali na szczytach sztuki polskiej. Z tymi ludźmi, z ich zdaniem, z ich potrzebami musiało się liczyć miasto.

Artyści - profesorowie kształcili znów duże zastępy młodzieży, z której mogli uróść luminarze tak wielcy, jak ich profesorowie.

O tem wiedział ogół. Słuchał ich zdania, walczył z nimi — i kupował obrazy w nadziei, że w krótkim czasie zabłysną sławą Fałatów, Malczewskich czy nawet Wyspiańskich.

Akademji Lwów nie posiadał. Malarz, chociażby najzdolniejszy nie miał tu żadnego oficjalnego zaświadczenia swojej wielkości. O zrozumienie jego dążności artystycznych, było niezmiernie trudno z powodu braku swoistej kultury plastycznej.

Zniechęceni zimnem wiejącym z miasta uciekali stąd malarze, co prędzej do Krakowa.

Działo się to w tym czasie, kiedy Kraków czy Warszawa budowały całe gmachy, poświęcone pracom artystów i potrzebom tej części publiczności, która z ich sztuki czerpała wzruszenia.

Na pomieszczenie zaś sztuk plastycznych we Lwowie miało starczyć kilka pokoi, kątem na drugiem piętrze — z wejściem od tyłu. Od czasów wojny urosła ilość artystów. Po przejściowym dobrobycie pogorszyły się stosunki ekonomiczne ogółu a w szczególności artystów. O zmianie miejsca zamieszkania, o ucieczkach czy przenosinach nie można marzyć. Tam trzeba pozostać, gdzie istnieje choćby pozorne oparcie.

I we Lwowie powiększyła się ilość artystów. Wzbogaceni liczniemi wyjazdami do centr sztuki europejskiej tworzą prace o dużej wartości artystycznej. Podnieśli poziom swej sztuki i chętnie pracowaliby nad szerzeniem tego, co jest treścią ich życia: ukochanie i zrozumienie sztuk plastycznych.

Nie dopuszcza do tego otoczenie.

Lwów, który wykazywał i wykazuje tyle zrozumienia dla teatru, Lwów który zakłada i rozszerza szeregi swoich muzeów, jest dziwnie nieczuły na jednym punkcie: Jeżeli chodzi o sztuki plastyczne.

Setki prac wala się po pracowniach, przepada kurzem i pyłem i nie może spełnić swego najważniejszego zadania: Nie może przemówić do widza.

W kuluarach teatru, nie w jednym lokalu wystawowym mieści się chwilowy przytułek Lwowskiego Zawodowego Związku Artystów Plastyków.

Odpędzają wszelkie manifestacje sztuki lwowskiej. Nie możemy urządzić ani większego przeglądu prac własnych, ani wpłynąć na nasze otoczenie, pokazując wystawy obcych artystów. I to wszystko dlatego, że w tak wielkiem i rozległem mieście nie jesteśmy w stanie przy największym wysiłku znaleźć kilku ścian pustych, na których byśmy mogli rozwiesić obrazy, ani miejsca, na którem byśmy mogli napisać słowo: „Wystawa".

Wśród takich warunków muszą opaść najpracowitsze i najodważniejsze ręce. Wszelka ucieczka jest niemożliwą z przyczyn ekonomicznych. Urządzenie wystaw zamiejscowych nie do przeprowadzenia z powodu zbyt wielkich kosztów.

Pozostaje tylko jedno wyjście: zamknąć się w swej pracowni.

Takie odcięcie artysty nie może dać pozytywnych rezultatów ani dla niego, ani dla ośrodka w którym pracuje. Zgorzkniały malarz, przed którym piętrzą się coraz większe trudności materjalne musi ograniczyć swoją produkcję, nie znajdując żadnego oddźwięku w otoczeniu. I tak jak wycofał się z życia miasta, tak rychło potem wycofuje się z życia artystycznego całej Polski.

Brak zainteresowań dla spraw plastyki bierze za miernik ogólny dla całej Polski, nie obsyła wystaw zamiejscowych i z roku na rok idzie w coraz większe zapomnienie.

Miasto zaś jest nadal nietknięte przez wszelką kulturę plastyczną i jeszcze bardziej podupada w stosunku do swego otoczenia.

Komu ten obraz wydaje się zbyt ponurym, niech przegląda katalogi wystaw ogólnopolskich lub spisy artystów biorących udział w konkursach. Jak mało znajdzie tam lwowskich malarzy lub rzeźbiarzy. Nie dlatego, żeby tu nie było artystów i nie dlatego, żeby bezczynnie siedzieli, bez prac.

Ale ich wszystkich ogarnia marazm, który zawisnął nad miastem i który jaknajszybciej trzeba usunąć. Dlatego musi się i to jaknajrychlej przyjść z pomocą artyście lwowskiemu, musi się przerwać te dwa ciągle jeszcze w sobie zamknięte koła: artystów i miasta. Musi jaknajszybciej — żeby za chwilę nie było za późno.

*) Gazeta Polska z 21 lipca 1934 „List do Redakcji".

**) K. Sichulski biorący udział w wystawach „TOSSPu" jest członkiem krakowskiej „Sztuki".

ALEKSANDER KRZYWOBŁOCKI

FOTOMONTAŻ



ALEKSANDER BAUMGARDTEN

Chwile w dawnym Lwowie

Dziwną wielce jest rzeczą jak ciągle zmienia się życie, jak odradzając się w coraz to nowych formach i przejawach zapomina je, a można rzec nawet niemi gardzi. A przecie tylko na dorobku przeszłości jest oparta cała teraźniejszość i na teraźniejszości może być oparta przyszłość. Ale w praktyce, w życiu jest inaczej. Giną stare pokolenia, przychodzą nowe, które skolei ustępują miejsca następnym i tak ciągle. Ale spójni między niemi niema żadnej. Każde nowe pokolenie tworzy sobie nowe, własne życie i stąd płynie ta wieczna dysproporcja, między „staremi a nowemi laty".

Pozostaje tradycja. Nić jej jednak jest tak wątła, że w barwnych krosnach nowoczesnego życia gubi się prawie bez reszty. I dlatego chodzimy nieraz we własnem mieście, jak w cudzem i nie zdajemy sobie zgoła sprawy, że z każdym nowowybudowanym domem, z każdą nową wytyczoną ulicą tworzy się już nowa legenda, legenda n a s z a, bo my ją wobec innych będziemy reprezentować. Każda tworząca się rzecz trwała, rzecz, która nas przetrwa, pomaga nam w uchwyceniu tego czwartego wymiaru, jakim jest mijający czas. Wczoraj tu nie było nic, dzisiaj jest dom jeden, za miesiąc będzie drugi, za rok powstanie ulica i oto jesteśmy niespodzianie autentycznymi ludźmi pamiętającymi jak tam a tam „gdzie dzisiaj jest ulica" były, powiedzmy, puste pola. Kiedy to się stało nie wiemy. To tak, jakby ktoś nagle został dziadkiem, — uczucie prawdopodobnie niezbyt miłe.

Chodzimy tedy po naszym kochanym Lwowie, „Lwowie starym i wczorajszym" i jakoś dziwnie mało nas on obchodzi. Tysiące razy przechodzimy koło starych kamienic i... nic nam to nie przeszkadza. A może jednak opłaciłoby się od czasu do czasu parę chwil dawnym dziejom lwowskim poświęcić.

O — bo rojno i gwarno w starym Grodzie Królewskim bywało. Daleko mu co prawda było do dzisiejszego Wielkiego Lwowa, z którego słusznie tak dumni jesteśmy, — jeszcze mniej myślał o dzisiejszej 300.000-ej ilości mieszkańców, ale był, jaki był: twardy jak pięść na nieprzyjaciół karki, miękki jak wosk, a jak miód słodki dla drogiej Ojczyzny — Rzeczypospolitej Najjaśniejszej.

Wiele też nacyj czy narodów gród nasz od wieków zamieszkiwało, więc prócz Polaków — Rusini, którzy ku wschodowi miasta się osiedlili, — Żydzi na południowym wschodzie, — Ormianie w okolicy klasztoru Dominikanów, — Tatarzy w ulicy Krakowskiej i ku północy rozrzuceni oraz Niemcy, których wielu w całem mieście mieszkało.

Wszyscy ci ludzie znajdując się na placówce narażonej na ustawiczne najazdy wrogów zazwyczaj serdecznie z sobą współżyli dzięki czemu i porządek srogi w mieście był i nieprzyjaciel odpór należny u murów miejskich zawsze znajdował.

Powodziło się też lwowianom nieźle. Widać to choćby z tego, że już w r. 1406 musiała rada miejska wydać ustawę, mocą której żaden mieszczanin niema sprawiać bankietów i uczt, na których byłoby więcej niż 16 osób płci obojga. Na tych zaś ucztach wolno było podawać tylko cztery potrawy. Paniom, żonom mieszczan schodzić się wolno „byle nie było traktamentu". Zakazano używać kosztownych materyj, jak adamaszku. Zabraniano grać w kości w mieście itd. jednem słowem starano się zahamować zbytek. Już z początkiem XV wieku miasto było porządnie murem opasane, na wieży w rynku znajdował się zegar publiczny, naokoło ratusza wiele istniało już sklepów i kramów, a na koronację królowej Zofji, żony Wład. Jagiełły delegaci Lwowa bogate dary w upominku królowi złożyli. — Rozwinęła się też we Lwowie ciekawa instytucja zaprzysiężonych tłumaczy handlowych, instytucja charakterystyczna dla miasta kresowego, prowadzacego handel zagraniczny. Byli ci tłumacze urzędnikami miejskimi, pośredniczyli w handlu, jednem słowem odgrywali wielką rolę w życiu dawnego Lwowa. Do nich bowiem musieli pod grozą konfiskaty towarów zwracać się wszyscy cudzoziemcy, przybywający z towarami do Lwowa, więc Grecy, Persowie, Turcy czy Wołosi.

Równolegle do tego postępowała i wewnętrzna organizacja miasta. Zabrukowano tedy oczywiście drewnem, rynek i główniejsze ulice, do czego miało miasto rocznie opłacanych brukarzy. Przeprowadzono kanalizację zapomocą drewnianych rur, nad których porządkiem czuwali rurmistrze. Ustala się „urząd" kata miejskiego, który prócz pomieszkania i pensji po groszu tygodniowo, otrzymywał za każdą egzekucję groszy 30. (1452 r.).

J. H. ROSEN:

WITRAŻ Z KATEDRY ORMIAŃSKIEJ



Fot. L. Wieleżyński

Miasto samo dotychczas drewniane zaczyna się zabudowywać murowanemi domami, same zaś domy dla zabezpieczenia od pożaru pokrywać poczęto dachówkami. Rada miejska w tym celu ugodziła garncarza, który miał specjalnie dla miasta wyrabiać dachówki. Jednem słowem Lwów wziął rozpęd zgoła nowoczesny, co wiernie się odbija we wszystkich aktach miejskich. Wogóle akty te są najlepszym i najdokładniejszym zwierciadłem życia i obyczajów dawnego Lwowa. Spotykamy w nich niekiedy rzeczy zgoła dziwne. Spróbujmy przejrzeć najciekawsze z nich.

I tak np. każdemu nowemu arcybiskupowi miasto zazwyczaj składało upominek na owe czasy cenny, ale z dzisiejszego punktu widzenia nieco — powiedzmy — dziwny. W r. 1481 upominkiem tym był: „kamień pieprzu, cztery garnce małmazji i sto cytryn". Kilkanaście lat później uradzono nowego arcybiskupa obdarzyć ...kołdrą wartości pięciu złotych i groszy piętnaście. W czasach obecnych trudnoby było tego rodzaju upominki książętom kościoła ofiarowywać. — Gdzieindziej czytamy, że z nowoufundowanej łaźni miejskiej pozwalano bezpłatnie co trzy tygodnie korzystać 30 uczniom, ale za to w łaźni obowiązani byli śpiewać psalm „de profundis" i pieśń „Ave maris stella". — Dzisiaj człowiek śpiewający w łaźni publicznej psalmy byłby narażony na różne konsekwencje.

Porządek w mieście jako się rzekło był srogi i tak np. piekarzy, którzy chleb mniejszej wagi piekli, przywiązywano do żurawia pod ramiona i w górę pięknie podciągano, żeby na świeżem powietrzu nieco o znikomości ludzkiej pomyśleli. Ku temu celowi wystawiono w r. 1522 pręgierz grzeczny, niestety jednak do naszych czasów niedochowany. W tychże latach inna rzecz niemniej straszna w grodzie naszym się zdarzyła. Oto niejaki Marcin Coriarius, cechmistrz garbarski oszkalowany został, że psa zabił. Bolało to męża bez plamy, przeto jak mówi kronika, przez publiczne obwoływanie na czterech rogach miasta, pozywał wszystkich, którzy by mu tę nieuczciwość dowodzić chcieli, a gdy się nikt jako oskarżyciel nie zjawił, uznano naszego cechmistrza za sądownie oczyszczonego. — Ano rozmaite, jak widać, ludzie mają zmartwienia. A miał ich i sam Lwów niemało. Tak np. w r. 1531 znalazł się we Lwowie jakiś człowiek, który głosił się prawdziwym dziedzicem księstwa multańskiego. Tym tytułem takiego wielebnym rajcom lwowskim ćwieka zabił w głowę, że przez jakiś czas nie wiedzieli co z nim począć. W końcu znaleziono rozwiązanie — darowano mu dwa złote, a na wszelki wypadek za jakiś czas dodano mu 15 groszy na buty. Mieli fantazję lwowianie — proszę zważyć: dziedzicowi Multan 15 groszy na buty! Albo inny wypadek: (w połowie XVI w.) Dowódca straży miejskiej, radca Hieronim Zapała kazał kleryka jakiegoś z Ołyki, który w nocy na ulicy podchmielony nieprzyzwoicie zachował się, należycie przetrzepać. Uraziło się o to duchowieństwo, ale rada miejska dla załatwienia sporu dała biednemu klerykowi za rany i hańbę sukna miśnieńskiego łokci sześć po groszy dwanaście na sutannę i spór został załagodzony.

Ciekawe zatem i pełne niespodzianek było życie Lwowa. Należałoby tu jeszcze dla scharakteryzowania całości, wspomnieć o waśni starej jak Lwów, waśni Żydów ze studentami. Wynikała ona nietyle z jakichś faktycznych potrzeb, ile raczej z wrodzonej lekkomyślności i beztroski młodzieży, która korzystała z każdej okazji, by „przypomnieć się nieszczęsnym starozakonnym". Ci zaś próbowali różnych dróg gwoli porozumienia się. Już w r. 1611 za bardzo dawny uważany był zwyczaj, że żydzi okupując spokojność dawali co rok w czterech ratach rektorowi szkoły miejskiej, cztery funty pieprzu i cztery łuty szafranu młodzieńcom szkolnym podobnież na raty 30 zł., a spowiednikowi szkolnemu 22 zł. Sczasem zobowiązali się żydzi podwyższyć opłatę, za co zawarowano im, że studenci ani w święta, ani w niedziele nie będą po ich mieszkaniach z kropidłem po kolendzie chodzić, że ich nie będą w dzień Wniebowstąpienia zaczepiać, oraz uwalniano ich od pożyczania szat studentom i rektorowi do grania komedji. Zdarzały się potem na tem tle różne tragikomiczne historje, ale przecie miasto Żydów za swych obywateli stale uważało i nigdy ich na pastwę wroga nie wydało, mimo iż samo przez to (przez Chmielnickiego) było wystawione.

Miało też miasto, jakżeby inaczej być mogło i swoje sentymentalne historję. Sławne choć smutne były w połowie XVI w. dzieje Elżbiety Ostrogskiej, dwakroć porywanej przez zakochanych bezpamiętnie adoratorów, raz przez księcia Symitra Sanguszkę, nieszczęśnie podczas pościgu w pojedynku zabitego, drugi raz przez magnata polskiego Łukasza Górkę, faworyta królewskiego, który ją w klasztorze Dominikanów wytrwale oblegał a przeto miłości jej nie uzyskał, mimo iż w końcu za żonę ją pojął, jako że była wierną swej pierwszej a jedynej miłości księciu Semenowi Słuckiemu. Te sprawy sercowe przyniosły miastu naszemu kilkutygodniowe oblężenie, wycieczki, bitwy, zamknięcie bram i zatamowanie handlu. W nieco późniejszych czasach notuje kronika inny sentymentu pełen wypadek. Oto dwóch młodych mieszczan Paweł Jelonek i Urban Ubaldyni zakochanych w Annie Wilczkównie poważnili się na cudzem weselu. Gdy bowiem Wilczkówna dała pierwszeństwo Ubaldyniemu w tańcu, obrażony Jelonek dał współzalotnikowi w twarz. Znieważony Ubaldyni w piewszem uniesieniu zadał przeciwnikowi raz śmiertelny, z którego Jelonek umarł. Zagrażała nawzajem śmierć zabójcy, lecz gdy mu umierający przebaczył, oraz gdy poczęto za nim się wstawiać; ocalił życie, ożenił się z Wilczkówną i był przodkiem znamienitego we Lwowie rodu Ubaldynich. Tak tedy kochano w dawnym Lwowie. Odpowiednio do takiego życia mogły krzewić się i sztuki piękne, śpiew czy muzyka, że nie poruszę już literatury. Istotnie z początkiem XVII w. istniała już we Lwowie konfraternia muzyków. Dzieliła się ona na dwie klasy: włoską i serbską. Do włoskiej należeli przeważnie śpiewacy, do serbskiej zaś skrzypkowie, cymbaliści i inni tego rodzaju. Muzykanci byli obowiązani podczas większych świąt bezpłatnie grywać w kościele. Na weselu płacono każdemu z muzykantów włoskich po 10 zł., a oni obowiązani byli grać i śpiewać. Zapłata obowiązywała na wielkie wesele, które zaczynało się we czwartek wieczorem a kończyło się w poniedziałek w nocy. W piątek jednak nie grano. Serbscy zaś muzykanci brali za noc podczas wesela dwa złote, a za bankiety po półtora złotego. Biorąc pod uwagę, że za złotego można się było w owej epoce dłuższy czas utrzymać, przyznać musimy, że i sztuka podówczas popłacała, czego dziś niestety powiedzieć nie można. Żyli tedy szeroko mieszczanie lwowscy i innym przy sobie żyć pomagali. Ale i ta wielka stopa życiowa musiała się skończyć. Przeglądając uważnie ówczesne kroniki spostrzegamy wyraźny upadek życia mieszczan i samego miasta. Nadszedł wiek XVII i XVIII czasy ciężkich prób dla kresowego grodu. Tatarzy, Kozacy, Szwedzi, Austrjacy przesuwali się w kalejdoskopie dziejów pod murami miejskimi. Lwów podupadł, podnosząc się wprawdzie nieco pod zaborem austrjackim, ale dopiero czasy najnowsze, kiedy po latach niewoli powrócił do Macierzy pozwoliły mu dźwignąć się na nowo. Jednak i teraz, w okresie 300 tysięcznego „Wielkiego Lwowa" warto od czasu do czasu zwrócić oczy ku tym dawnym czasom, by bodaj na chwilę wspomnieć jak to dawniej Lwów cierpiał, kochał i żył.

ZBIGNIEW PAPP

Sabina marzy

Przyznam się, że bez wielkiego przekonania, a raczej z dużą nieufnością brałem do rąk powieść p. Heleny Boguszewskiej p. t. „Całe życie Sabiny" (Wyd. Przeworskiego, Warszawa 1934). Nazwisko do ostatnich czasów prawie zupełnie nieznane, tytuł nic nie mówiący, reklamy żadnej, nic coby mogło zwrócić uwagę i uwieść czytelnika. Zacząłem czytać i powoli, przebiegając stronę za stroną, poddawałem się coraz więcej nieprzepartemu urokowi tej cudownej książki. Nieufność przeszła stopniowo w zdziwienie, w podziw, w zachwyt. Zrozumiałem niebawem, że stoję wobec wyjątkowego wprost zjawiska literackiego, z jakiem mamy do czynienia normalnie nie częściej, niż raz na kilka lat, a może jeszcze rzadziej.

Tak zwana „fabuła" powieści odznacza się zdumiewającą prostotą, powiedziałbym nawet — ubóstwem. W pewnem mieszkaniu leży chora kobieta. Doktór powiedział właśnie, że stan jej jest beznadziejny, wie przeto, że wkrótce umrze i świadoma bliskiego końca pragnie raz jeszcze dokładnie przemyśleć wstecz całe swoje dość zresztą szare i jałowe życie. Siostra i szwagier, u których mieszka, zajęci własnemi kłopotami nie mogą zajmować się nią przez cały dzień, od rana do wieczora, ale Sabina właśnie pragnie teraz samotności. Leżąc nieruchomo na wznak całemi godzinami z rękami niezmiennie splecionemi na piersiach błądzi myślami wśród wspomnień. Ale tak to sobie jakoś dziwnie ułożyła w głowie, że wybiera zawsze tylko jeden motyw, przewijający się wzdłuż jej życia, poprzez dziesiątki lat. Jednego dnia wędruje „po sukniach", przechodzi wszystkie, które miała i uświadamia sobie ich związek z najróżniejszemi sytuacjami, ze zdarzeniami i z ludźmi, którzy się koło niej przesunęli i zapadli w przeszłość. Drugiego dnia wędruje znów „po mieszkaniach", kiedyindziej „po służących", „po książkach" „po zajęciach i zabawach", „po porankach". (Są to zarazem tytuły rozdziałów). Zawsze zaczyna od dzieciństwa, potem wskrzesza okres młodości, pożycie małżeńskie z Janem zrazu szczęśliwe, potem nabrzmiałe goryczą i łzami, miłość do Tomasza, wychowywanie syna, romans z Michałem... Każda taka podróż „po czemś" wnosi coś nowego do „akcji", dodając nowe linje, nowe światła i cienie do rysunku duchowego wszystkich tych osób, operując zręcznie momentem nie-

S. KRAMARCZYK: KOMPOZYCJA



spodzianki. Przypomina to gruby sznur złożony z kilku cienkich sznureczków. Każdy z nich ma swój początek i koniec, swoją barwę, swoją materjalną, że się tak wyrażę, egzystencję — ale dopiero wszystkie do siebie dodane i razem misternie przeplecione tworzą mocną, solidną linę.

Przedewszystkiem — imponująca przenikliwość, z jaką autorka podpatruje życie na odcinkach zwykłej, codziennej pospolitości, a więc tam właśnie, gdzie może najtrudniej je podpatrzeć i ująć w słowa, bo nie wyobraźnia, lecz umiejętność wiernego fotografowania rzeczywistości decyduje tu o uczciwem podejściu do tematu. Dalej niezwykła, jakaś wprost intuicyjna zręczność i trafność, z jaką syntetyzuje i osądza obserwowane zjawiska, co w połączeniu z wybitną skłonnocią do refleksji pozwoliło jej nawet stworzyć pewną ogólną koncepcję filozoficzną świata.

Przeświadczeniu o tymczasowości wszystkiego, o wiecznem przemijaniu wszystkiego, o problematyczności ludzkiego szczęcia umie Boguszewska nadać głęboką siłę przekonywującą. Umie też pisać! Jej świetny styl na tle obecnego stanu literatury (nietylko polskiej) jest zupełną nowością. Nazwałbym go introspekcyjnym, tak dalece służy wyłącznie jednemu celowi: analizie duszy kobiety, której myśli sa właściwym bohaterem powieści.

„Całe życie Sabiny" jest pod względem psychologicznym zdumiewającą, pod względem języka — przepiękną, a pod względem formy strukturalnej najciekawszą powieścią, jaka wyszła z pod pióra kobiecego w niepodległej Polsce.

Z braku miejsca nie zostały zamieszczone następujące nadesłane artykuły i wiersze:

Macieja F r e u d m a n a: Kompanja śpiewa piosnkę Madelon" (wiersz), Macieja F r e u d m a n a: „Przeżycie i nastrój" (artykuł), Światosława H o r d y ń s k i e g o: „Z morskich wędrowań" (w tłum. A. Baumgardtena) (wiersz), Zdzisława K u n s t m a n a: „Tajemnica siostry Rozalji (wiersz), Józefa R a d z i m i ń s k i e g o: „Czerwony krąg" (nowela), Teodora P a r n i c k i e g o: „Koniec króla Witiki" (fragment z powieści historycznej „Hrabia Julján i król Roderyk").

Z. ANDRZEJ KRUCZKOWSKI

Poezja dzisiejszości

Wyjdźmy od anegdoty, aby myśl w niej zawartą wyżyłować z anegdotycznej treści, oczyścić z dowcipu, podfutrować komentarzem i podać — jak lekarstwo w opłatku — w lekkostrawnej formie.

Było tak:

Oprowadzaliśmy niedawno po Lwowie pewnego warszawskiego poetę, znającego się też nieźle na malarstwie. Szliśmy właśnie przez Park Stryjski, gdy jeden z nas zaproponował zwiedzenie Panoramy Racławickiej. Ze strony naszego gościa nastąpiła natychmiastowa i komiczna w swej bezpośredniości reakcja. Usłyszeliśmy: ze Styką lepiej się nie stykać. I na tem się skończyło. Poszliśmy dalej alejami parku, opowiadając jakieś historyjki, lecz o Panoramie nikt już nie wspominał.

Skąd to lekceważenie dla dzieła, w którego realizacji brał udział i „mistrz“ Styka? — Wszyscy lwowianie wiedzą przecież dobrze, że we Lwowie poza szynkami i Panoramą niewiele jest objektów godnych odwiedzania. Jest więc Panorama szczególnem oczkiem w głowie radnych i nieradnych miasta, jest przedmiotem licznych zachwytów, entuzjazmów i roztkliwiań.

Tymczasem koneserzy mają inne zdanie o wyczynie Styki. Wyrażają się o nim lekceważąco.—

Ocena dzieła sztuki może a nawet musi być różna, zależnie od tego, kto tej oceny dokonywa. Laik i spec mają inne oczy, inny sposób reagowania na to co widzą na to co czytają. Dzieło o dużej wartości dla laika może być niczem (lub kiczem) w oczach speca. Jest to objaw normalny i pożądany. Potrzebni są ludzie, którzyby przygważdżali spłyciaży i łowców konjunktury. Poprostu trzeba, abyśmy wiedzieli, kto pełni swój serdeczny obowiązek wobec społeczeństwa a kto w swoim kantorku trudni się wymianą cudzej grubej waluty na własne drobniaki. I nie o to idzie, by nielitościwie tępić spłyciarzy. Nie. Oni są potrzebni, oni właśnie ciężkostrawną nieraz produkcję bohaterów pendzla czy pióra udostępniają i upowszechniają. Idzie tylko o to, aby ich osadzić w miejscu, w którem siedzieć powinni, aby uczynić zadość elementarnej zasadzie uczciwości: oddajcie cesarzowi...

Nie jest to sprawa prosta. Prawdziwe wartości artystyczne mają wprawdzie właściwości oliwy, która wypływa na wierzch, nie zawsze jednak oko nasze potrafi wczas wodę od oliwy odróżnić; nieraz od lat długich oliwa na wodzie a my ciągle jeszcze widzimy na wierzchu wodę. Egzemplum: p o e z j a m ł o d e j a w a n g a r d y.

Nikt, żaden nowator, żaden doktryner rozsądny nie zaprzecza, że „Boska Komedja“ jest arcydziełem. Nikt szczerze nie neguje talentu L e ś m i a n a czy S t a f f a, T u w i m a czy W i e r z y ń s k i e g o, ale też nikt nie powinien zapominać o datach urodzenia tych poetów. Sztuka, jako zjawisko społeczne, jest również zjawiskiem aktualnie społecznem, jest niebotycznym wzlotem uczuć i myśli średniowiecznego ascety, pielgrzyma chrześcijańskich zaświatów, jest snem o potędze — w czasach gdy o potędze marzono, jest zachłystywaniem się bakchiczną radością, gdy przyszedł czas radości i wesela. Znaczy to jedno: „Wróble na dachu“ lub „Sokrates tańczący“ są wzlotami artystycznemi na miarę epoki, w której powstały. (Adam Skwarczyński był innego zdania. Twierdził, że literatura polska nie zauważyła faktu odzyskania niepodległości, że nie rozkwitła romantyzmem wskrzeszonej Ojczyzny, że romantyzm cierpiętniczy czasów Mickiewicza nie nabrał soków w Polsce odrodzonej, nie stał się twórczością naprawdę wielką i naprawdę radosną. Że literatura w Polsce odrodzonej zaczęła się od kabaretów).

Tak. Kabaret i styl kabaretowy. Od tego się zaczęło, bo w t y m c z a s i e, po stu kilkudziesięciu latach dumań, zaciętej ponurości, mazgajenia się i tragicznych wstrząsów — czyż nie był to odpowiedni moment do roześmiania się całą gębą, do tańczenia na ulicach i krzyczenia przez usta pijanego Sokratesa: in vino veritas?

Ale już niemal równolegle do tych słusznie rozbawionych głosów można było wyłowić uchem pierwsze pomruki ludzi zapatrzonych w j u t r o. Minął czas radości, rozpoczął się okres buntowniczych wyzwań. Przyszli ludzie nowi.

Poprzez pierwszą „Z w r o t n i c ę“, potem drugą, poprzez „L i n j ę“ i „Z a g a r y“ ciągnie się ten szlachetny i bogaty w wypadki szlak literatury żywej, narastającej nowemi zdobyczami, wydzierającej się ku szczytom, ku maksymalizmowi artystycznych osiągnięć. Nieraz początki były naiwne, niemal śmieszne, kontrastowo sprzeczne z wynikami osiąganemi po roku pracy. Nieraz krzyczano: „Produkujmy dla określonego koła konsumentów (np. dla proletarjatu)! Precz z hiperprodukcją literacką! Precz z pisaniem książek dla „person niepewnych“! I nieraz, już po roku od krzyczenia takich postulatów, pod wpływem eksperymentu, doświadczenia wewnętrznego, pod wpływem p o z n a n i a, podejmowano stare peiperowskie hasło: sztuka dla dwunastu. I rozumiano przez to nie zaciemnianie świadome swych utworów, nie arystokratyczne uniedostępnianie ich, lecz chęć wydźwignięcia się na najwyższą platformę, — na platformę, mogącą pomieścić najwyżej dwunastu konsumentów. Dochodzono przy stosowaniu tych założeń do śmiesznych i szkodliwych wynaturzeń od handlowych środków reklamy zdrowej zasady, do wykoślawień niepotrzebnych: wstrzymywano się z sprzedażą swych książek, których nieraz nie rozsyłano nawet do księgarń.

Postulat sztuki dla dwunastu, sztuki osiągnięć najdoskonalszych, zawiera w sobie milczącą zgodę na konsekwencje, jakie stąd wynikną. Jedną z nich była kradzież. „Linja“ krzyczała: K r a d n ą n a s! Nie wołała przytem o ratunek (choć wymieniała nobliwe nazwiska złodziei), ale wyczuwało się już w samem postawieniu sprawy, już w samem wywlekaniu jej na światła dzienne, że linjowcy uważają te zapożyczenia za niedozwolone.

Tak. To prawda. Kradziono z awangardy obficie. Ale czyż była to naprawdę — kradzież? Czyż nie poto Kolumb odkrył Amerykę, aby Żyd z Kopyczyniec lub włoski awanturnik nauczyli się w Nowym Świecie robić interesy? — Z pewno-

M. SIELSKA: W CYRKU



ścią nie poto. Ale to jest normalna konsekwencja wszystkich odkryć i żaden szanujący się Kolumb nie wypominał Żydom z Kopyczyniec i włoskim spryciarzom, że umożliwił im rozwinięcie ich bussiness'owych zdolności.

Mimo tych nieporozumień, mimo licznych upadków, poezja młodej awangardy jest jedyną poezją d z i s i e j s z o ś c i, jest jedyną pozycją literacką w Polsce — in crescendo. — Vox populi twierdzi, iż jest ona niezrozumiała, że eksperymentuje, niszczy dawne formy; że zamiast odpoczynku niesie zmęczenie, równe temu, jakie następuje po rozwiązaniu tuzina krzyżówek i logarytmografów.

Są to zarzuty prawdziwe ale nie są — zarzutami. Naprawdę: nie. Aby udowodnić, że nie są to argumenty przeciw, nie trzeba nawet dawać słowa honoru; wystarczy przypomnieć, że poezja awangardy, taka, jaką ona jest teraz, bez względu na intencje autorów, j e s t p o e z j ą d l a d w u n a s t u.

Poezja awangardy jest poezją dzisiejszości. Nie przez swą tematykę, względnie: nietylko przez nią. Rewolucyjną jest forma, która słowo poetyckie w klamry artystycznych całości ujmuje. Wśród poetów awangardowych jest wielu szczerych i gorących wyznawców faszyzmu i komunizmu. Są to ludzie dnia dzisiejszego, żyjący często polityką tak silnie, jak sztuką. Wielu z nich tę swoją namiętność polityczną przypłaciło wielokilometrową wędrówką od drzwi do okna i spowrotem. Ale przeglądnijcie ich wiersze a przekonacie się, że tematy tych wierszy rzadko mają coś wspólnego z furorem rasistycznym lub walką klas. Tu jest sedno: można dziś manifestować, że własność jest kradzieżą i zabierać rzecz cudzą bez wyrzutów sumienia: będzie to rewolucyjność formalna i treściwa. Ale nawet wówczas, gdy się zapatrywania tego nie podziela, i gdy w potrzebie, jak przed tysiącem lat, „chłop“ udaje się do „pana“ po pożyczkę — to w prośbie o nią innych słów użyje, jak niegdyś. To jest ta w gruby sposób pokazana rewolucja w formie.

Świat się socjalizuje. Poeci awangardy to — jakby powiedział Peiper i jak ja m u s z ę za nim powtórzyć — socjalistyczni ludzie. Nie socjaliści, — lecz socjalistyczni ludzie; ludzie wzlotów tak górnych, jak głębokiemi są ich upadki. Socjalistyczni ludzie, którzy mają pośród siebie i masonów i narodowców.

Wszystko co stoi, nie porusza się, nie nastawia karku pod uderzenia zarzutów niezrozumialtswa i nowatorstwa, wszystko co jest Styką, wygodnictwem, co trudni się przyklejaniem coraz nowych przydłużków na starych wekslach, wystawionych choćby przez najsolidniejsze firmy — wszystko to tworzy jeden wielki obóz konserwy. Awangarda z tą konserwą walczy swoją pracą, wynikami artystycznych osiągnięć. Jeżeli wytrwa — zwycięży napewno. Narazie jednak, mimo swych istotnych wartości, na polskiej giełdzie literackiej jej papiery nie są notowane zbyt wysoko. Dziś ciągle jeszcze Panorama Racławicka jest licznie odwiedzana a za jej dzienny dochód możnaby wykupić bez reszty wszystkie nakłady książek przybosiów, czechowiczów i miłoszów. I dziś delegaci ministerstwa W. R. i O. P., młodzi powieściopisarze starej szkoły zasiadający w jury nagród literackich, zakładają swoje votum separatum przeciw przyznaniu nagród awangardzistom, a więc — ich zdaniem — kandydatom niepoważnym.

KRZYSZTOF POPIELL

Sobieski

Z bronzu — konno — w pomniku tkwisz chwałą spiżową
dal buławą hetmańską wskazujesz w przestrzeni —
Znowu Turek obozy rozbija pod Lwowem?
a harmaty larum grają na Zniesieniu?

Możeć wczora o Żółkiew zawadził Tatarzyn,
z Kozakami w jawną rebelję sprzysiężon — ?
Komuż — twoi mieszczanie przyjdziemy się skarżyć,
że w gród godzi ostrzem sułtański półksiężyc!?

Spokoją się nad pługiem pochylone kresy,
w zbuntowane watahy czerń popłochem rzyga
i sam Stambuł oniemiał z lęku przed Sobieskim,
kiedy król Jan III. sięgnął po buzdygan.

Świtem — w lwowskiej katedrze — karmazynów szkarłat
i wieśniaczych siermięg modlitwą ulica się bieli
stoją w stali — skrzydlate chorągwie usarji
i ślubują wierność — na pół karabeli...

Poseł znaczny znów przybył i pokornie klęka,
chmurzy się południe ogniem bisurmańskich meduz
i raz jeszcze prosi królowa Marysieńka,
abyś panie królu... szedł ratować Wiedeń...

WŁADYSŁAW JAN TURZAŃSKI

Ciężar światła

Aleja jest zwykła — prosta — takich alej wiele,
podparta u dołu pni barczystych kolumnadą —
słońce przeciekło witraże w zielonym kościele
i na trawnikach modlitwą uśmiecha się bladą.

Klonowa więźba stęża u góry błękit i listowie,
dzień gorącym oddechem południa napęczniał —
wybiela się światło — płynna senność niewypowień
rozpiętych na warstat przestrzeni pajęczyn.

O... pójść tak... przed siebie spragnionem spojrzeniem,
zasłuchać się w melodyjnie rozszemrzały spokój,
utonąć w ciemnej plamie wilgotnego cienia
i w echach ważyć ciszę zapomnianych kroków.

Aleja jest zwykła — prosta — takich alej wiele,
podparta u dołu pni barczystych kolumnadą —
słońce przeciekło witraże w zielonym kościele
i na trawnikach modlitwą uśmiecha się bladą.

NARCYZ ŁUKIJANOWYCZ

Spotkanie

Banalna treść nieszczerej, czczej rozmowy,
Uśmieszki czarujące, ukryte w obłudzie,
W krąg sami uśmiechnięci i weseli ludzie
Przecudne panie i rycerscy panowie.

I wszyscy — nudni, nieznośni, do rozpaczy!
I tylko ty — w kąciku, w zadumie, bez słowa...
I wspomnienia, wspomnienia krwawo-purpurowe
Zwaliły się na pierś lawiną, jak płaczem!

Balsamem tanga pastelowe tony;
Nieśmiała prośba: „Można?“ Ciche: „Tak“!
I wspomnienia z daleka z zasłony

Lat! Milczał wciąż ust zaciśnięty znak
I tylko w siatkę czarnych rzęs zakuty —
Trucizną niepocieszony twój smutek!....

(Tłum. z ukraińskiego A. Baumgardten).

ZDZISŁAW KUNSTMAN

Wyzwanie rzucone przyjacielowi

Spojrzyj mi prosto w oczy, błyskiem ognistszym od reklam
i świateł nocnych barów i lamp rozbawionych kawiarń —
spojrzyj mi prosto w oczy: wiem dobrze a więc nie kłam,
że możesz zupełnie spokojnie i grzecznie z nimi rozmawiać.

Wiem, że tak jak i ja chciałbyś dziś bić po twarzy
wytwornych opasłych brzuchaczy, wietrzących sensacje w gazetach:
„Już panie dawno nie było równie niezwykłych wydarzeń —
pan o tem wiersz pewnie napisze, no — bo pan przecież poeta...“

Więc napisz łzami dzieci, którym spieniona rzeka
zabiła ojca, kiedy chciał w polu zboże ocalić:
— pszenica na giełdzie podskoczy! — z uśmiechem możecie czekać
do waszych kas żelaznych znów powódź banknotów się zwali! —

i napisz krzykiem ludzi tonących w brudnej wodzie
że lepiej było zginąć wraz z chatą wirem rozbitą
niż o tem się dowiedzieć, że „na nieszczęsnych powodzian“
zabawę taneczną urządził „pań miłosiernych“ komitet...

Niech tańczą i piją szampana i niech obliczają zyski
— niedarmo zgniło na ścierni zrośnięte żyto w półkopach. —
Spojrzyj im prosto w oczy i krzyknij w tłuste pyski:
— Słuchajcie! giną z głodu dzieci polskiego chłopa!

Dąbrówki, lipiec 1934.

ANTONI GRONOWICZ

Najmita

Ot — w podartym,
potarganym,
nic nie wartym,
poszarpanym,
śmierdzącym łachmanie —
Za pieniądze tanie,
nawet za psie —
za kęs chleba —
ciągnie zysk — ssie —
potrzeba —

Musi żyć — pracuje
na hjenę — haruje
wyzyskiwaczy wół
pracowity, — od pół —
do pół długiej nocy —
bez wytchnienia mocy.
Jak szmatą sponiewierany —
życiem zmęczony — stargany.

Ot — zawszony —
wygłodzony —
wyniszczony —
wybiedzony —
głupi — bo biedny najmita.
Nikt nigdy o nic nie pyta —
nie żałuje —
Szepczą zcicha:
haruje —
prędzej zdycha.

H. STREUG: RODZINA



ANATOL KURDYDYK

Szary patrol

Szary patrol—siedmiu chłopców dziś
do chaty wpadł,
Miedź w obliczach. Broń na plecach. —
A za chatą cicho wieczór
Siadł.
Szary patrol salutuje
Do hełmów ze stali:
„Dobry wieczór. Możebyście
Kubek wody dali“.

A w chatynce (w srebrną szybkę
Tak słonecznik się przeginał...)
W białe dłonie — głowę kłoni
Dziewczyna.
(Ej — gołąbka skrzydłem igra!)
Pluskiem wody żuraw gra...
Piją chłopcy — a tam w dole
Szlak...

„Zapłać Bóg!“ i patrol szary
Gęsiego po ścieżce.
(...a bagnety nieskończoność
haftują i pieszczą...)
Szary patrol już odchodzi. Szary
patrol w dal.
Smutnie spojrzał ktoś w okienko
(Za żytami słońce klękło)
Żal.

Tłum. z ukr. A. Baumgardten.

ZBIGNIEW PAPP

Sztuka apelująca do zbiorowości

(Dyr. Wilam Horzyca o roli społecznej teatru)

Mówi się w ostatnim czasie dużo o kryzysie teatralnym, stanowiącym zresztą zjawisko o charakterze powszechnym, międzynarodowym, lecz na czem ono właściwie polega, czy jest to krysys przedewszystkiem artystyczny, czy raczej ekonomiczny, czy może oba razem — o tem wie tylko garstka fachowców, wśród których zresztą, zwłaszcza, jeśli idzie o sposoby walki z kryzysem, zdania są często antypoidalnie sprzeczne.

Pragnąc zasięgnąć w tej mierze opinji jednego z najlepszych znawców teatru w Polsce, zwróciłem się do Dyr. Teatrów Miejskich we Lwowie, p. W i l a m a H o r z y c y z uprzejmą prośbą o łaskawe podzielenie się z czytelnikami „Akcji“ swemi zapatrywaniami i poglądami na te niesłychanie ważne i dla teatru polskiego palące zagadnienia.

Jest godzina wieczorna. W zacisznym gabinecie dyrektorskim panuje półmrok. Dyrektor to siada na fotelu, to wstaje i przechadzając się po pokoju monologuje głosno, zwracając się więcej do własnych myśli, niż do mnie:

— Kryzys, proszę pana, no cóż, oczywiście, kryzys istnieje, ale to jest taka sprawa: teatry przechodzą kryzys materjalny o tyle, o ile całe społeczestwo go przechodzi. Podobnie kryzys duchowy dotyka teatr o tyle, o ile dotyka całe społeczeństwo. Winna tu jest więc dzisiejsza ogólna konjunktura, a dla ludzi dobrej woli jest tylko jedna droga wyjścia: zakasać rękawy i pracować, pracować rozumnie, bo nieraz, gdy się widzi, jak wielkie środki marnują się i giną bez pożytku i przepadają gdzieś, to aż się smutno robi człowiekowi. I jeżeli dziś wysiłki lwowskiego teatru ocenia się z takiem uznaniem, myślę, że ze zbyt dużem uznaniem (usiłuję zaprotestować), tak tak, niech pan nie protestuje, to dzieje się to może niezasłużenie. To, że się jest najlepszym teatrem, nie znaczy jeszcze, aby się było dobrym.

— Teatr polski jako całość znajduje się dziś w jakimś impasie, błąka się, jakgdyby w jakiejś potwornej pustce. Pewne formalne wyczyny nie są w stanie absolutnie zapełnić tej pustki. Trzeba przecież pamiętać o tem, że teatr, to nie tylko znakomita gra estetyczna. Teatr to sztuka społeczna, zbiorowa, sztuka apelująca do zbiorowości, bo bez zbiorowości nie można sobie wogóle teatru wyobrazić. Lecz teatr polski drogi do zbiorowości jeszcze nie odnalazł i w tem leży jego tragedja. A ponieważ mamy wielkie tradycje teatralne, tak wielkie, jak może żaden inny naród w Europie, bo literatura polska była rzeczywiście literaturą wielkiej zbiorowości, literaturą, dającą wyraz pewnym natchnieniom zbiorowym, więc byle jaki odpowiednik sceniczny nie wystarczy poziomowi tego natchnienia. Trudno wyrazić zapomocą jakiego kontaktu ze zbiorowością można będzie rozwiązać zagadnienie, które u nas wyrażało się dotąd „Dziadami“, „Nieboską komedją“, „Weselem“...

Schodzimy na teren lwowski i rozmawiamy o perspektywach nadchodzącego sezonu. Dyrektor pełen jest optymizmu i wiary w przyszłość.

— Zamierzam conajmniej, prawda, utrzymać dotychczasowy poziom, a może nawet pod pewnymi względami spróbujemy pójść wzwyż w dziele tworzenia nowego teatru nietylko od strony formy, ale i treści. Za prolog do takiego nowego teatru uważam właśnie „Człowieka, który był czwartkiem“, będącego największym triumfem ubiegłego sezonu.

Proszę o informacje co do repertuaru najbliższych miesięcy.

— Zaczniemy sezon „Krakowiakami i góralami“ w zupełnie nowej inscenizacji. Nawiasem mówiąc, ze sztuką tą, oraz ze „Zborowskim“ i „Mistrzem Manole“ wyjedziemy do Rumunji. Dalej zamierzam wystawić (mówię w tej chwili o repertuarze Teatru Wielkiego) „U mety“ Rostworowskiego, „Nieboską Komedję“, „Zbrodnię i karę“ w przeróbce Schillera, może „Klub Pickwicka“ w przeróbce czeskiego dramatopisarza Langera, coś Shawa oczywiście, potem „Hamleta“...

— Kto byłby Hamletem? — przerywam.

— Tego nie mogę panu powiedzieć, bo każdy z moich aktorów miałby pretensję: dlaczego nie ja, tylko on? Jeśli Bozia i czas pozwoli wystawimy jeszcze „Wesele Figara“ Beaumarchais, napewno coś Kasprowicza, a może także postaram się spełnić jedno z moich marzeń i zapoznam lwowską publiczność z „Bazylissą Teofanu“ Tadeusza Micińskiego.

Nie chcę zabierać dłużej czasu dyrektorowi i żegnam się, dziękując za informacje. Mimo, iż większa część zespołu pod wodzą dyr. Szackiego bawi na występach w Krynicy, teatr Rozmaitości zaczyna już swoją działalność i nadchodzi początek sezonu, po którym wszyscy niezmiernie dużo sobie obiecujemy. Qui vivra, verra!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Klaudjusz Hrabyk. — Druk A. Gojawiczyńskiego, Lwów, Kopernika 20, tel. 28-18.